



Mirosław Darecki
NA ŚCIEŻKACH POLSKICH KOMANDOSÓW (VII)
WIGILIA W PESCOENNATARO

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia (1943 r.) kojarzące się zawsze Polakom pod każdą szerokością geograficzną ze śniegiem, mrozem i choinką rozjarzoną płomykami świeczek, z łamaniem się opłatkiem i ciepłem domowego zacisza, z „pokojem ludziom dobrej woli”. Może dlatego tym ciężiej było chłopcom w zielonych beretach przemierzać codziennie skaliste ścieżki Abruzzów omiatanych wichrami, rozmokłych w zimnej mżawce. Z zawieszzonego niby orle gniazdo nad doliną Sangro, częściowo zburzonego Pescopennataro, schodziły codziennie ku szumiącej w dole rzece polskie patrole. Pierwszy raz od kilku lat mogli żołnierze przypatrzeć się Niemcom panoszącym się na drugim brzegu.

16 grudnia o godz. 4.30 rano wyszedł z Pescopennataro w rejon wioski Borello patrol pod dowództwem porucznika Stefana Zalewskiego. Kiedy znaleźli się na wysokości zabudowań, niebo zaczęło się rozjaśniać, przeciwległe stoki górskie stanęły wyraźnie w promieniach wschodzącego słońca. Po drugiej stronie rzeki, w miejscowości Quadri, uniosły się z kominów dymki, na drodze pojawiło się kilku niemieckich żołnierzy. Porucznik Zalewski ukryty wśród skał zawisłych nad Borello przyglądał się uważnie ruchom Niemców. Doskonała widoczność pozwalała mu na wykonanie dokładnego szkicu dla artylerii. Wtedy właśnie przyszło mu być świadkiem zdarzenia, które zapamiętał na całe życie: *Za rzeką, z domu leżącego o około czterystu metrów przed nami wychodzą trzy postacie. Idą jakby niedbale, zatrzymują się, to znów ruszają dalej. Już widać je dobrze – dwie w wojskowych mundurach - trzecia to kobieta. Czy młoda i ładna? - trudno z tej odległości osądzić, w każdym razie porusza się zwinnie i lekko. Idą w stronę rzeki – może przeprowadzają ją przez pola minowe, a może chcą przeprowić na naszą stronę? Są już nad samym brzegiem. Wtem zdumione oczy rejestrują nagle szarpnięcie, i huk jakiś rozlega się echem. Z pistoletu trzymanego w dłoni przez Niemca unosi się w górę leniwie wąska smuga siwego dymu. Ciało kobiety z rozkrzyżowanymi rękoma obija się o występy skarby, leci bezwładnie w dół i drga jeszcze konwulsyjnie na szarym, wiecznym kamieniu. Dwie krótkie serie z pistoletu maszynowego dokańczają dzieła (...) Widzę oczy towarzyszy zbiegające na linię celownika...*

Nie!... Nie wolno!... Coś chwyta za gardło, jakiś skurcz obrzydzenia i nienawiści dławi i dusi. Trzeba się jednak powstrzymać od wymierzenia doraźnej sprawiedliwości za ten mord i gwałt dokonany ohydnie na naszych oczach (...) Nad nami, furkocząc, poczynają przelatywać pociski, eksplodując gdzieś w dali głuchą detonacją. Zaczyna się codzienna zabawa artylerii. (...) Wyjmuję szkicownik i poczynam powoli nanosić na plan położenie domku. To wszystko, co mogę dzisiaj zrobić...

Następnego dnia kapitan Wood zaczyna się wstrzeliwać w domek za rzeką. Czyni to z wielką skrupulatnością i wyjątkowym zaangażowaniem. Powoli, metodycznie, z pociemniałą od gniewu twarzą, obramowuje budynek pióropuszcami dymu i ognia. Ma przed sobą dokładny szkic wykonany przez porucznika Zalewskiego, a w uszach dźwięczy na wciąż jeszcze opowieść dowódcy patrolu. Na wysuniętym daleko ku Quadri punkcie obserwacyjnym sierżant Gradowski widzi wyraźnie przerażeni Niemcy wybiegają to znów wbiegają z powrotem do domku. Zupełnie stracili głowę. Aż wreszcie, kiedy znowu zniknęli we wnętrzu, na stanowisko artylerii idzie komenda „Fire!”. Z luf armatnich wylatują dwa pociski. Wyją przez chwilę nad doliną, a potem w miejscu, gdzie stoi domek, podnosi się wysoki gejzer ognia, lecą w górę kamienie i belki. Kiedy opada dym, stok góry jest pusty i martwy. Domek zniknął. Kapitan Wood podnosi słuchawkę polowego telefonu i mówi krótko do dowódcy baterii: „Two direstion – will dome!” (Dwa w celu. Dobra robota!).

18 grudnia przed południem dociera do Pescopennataro szlakiem mułowym reszta kompanii. Przyszli akurat w porę, bo z dolin zaczyna podnosić się mgła. Jest coraz bardziej gęsta, tak że o pierwszej po południu można zobaczyć człowieka ledwie na parę kroków. Niełatwą będzie miał teraz drogę angielski pluton wracający do Capracotty. A tymczasem polska kompania, obejmująca wioskę w całkowite władanie, zakłada kwatery, w jako tako ocalałych domach i w jednym z dwóch kościołów, a szef. Kazimierz Mizera, szykuje miejsce pod oddziałową kuchnię.

We mgle sunie ku Borello patrol podchorążego Abrahama Jedwaba, później patrol rotmistrza Wołoszowskiego. Tam spotykają kilku Włochów, którzy żywo gestykułując wskazują na północny wschód. To specjalna „delegacja” mieszkańców miasteczka Villa S. Maria wysłana przez tamtejszego szefa włoskiej policji. Proszą o pomoc i ochronę przed Niemcami, którzy buszują tutaj bezkarnie prawie codziennie plądrując domy i rabując, co się da. „Niech waleczni polscy żołnierze, czym prędzej podbija Villa S. Maria!”.

Rotmistrz maszeruje niezwłocznie w kierunku miasteczka z nadzieją wzięcia języka, ale jedynym jeńcem jest... kobieta, której nikt z miejscowych nie zna, natomiast Włosi podejrzewają ją o współpracę z Niemcami. Dobrze, niech się nią zajmie w sztabie dywizji ich „inteligentny” - Intelligence Officer. W Villa S. Maria rotmistrz Wołoszowski uzyskał szereg

cennych informacji o nieprzyjacielu. Wskazano mu nawet miejsce postoju dowództwa niemieckiego pułku broniącego tego odcinka.

Samodzielna Kompania Komandosów zapadła w Pescopennataro i tylko rotmistrz Andrzej Bohomolec tkwił przy dowództwie odcinka w Capracotta. Właściwie to rotmistrz „tkwił” bezustannie w baonowym łożyku lub w lekkim wozie pancernym 56 angielskiego Pułku Rozpoznawczego, przemierzając okoliczne dostępne drogi w poszukiwaniu Włochów dobrze orientujących się w terenie. On też był pierwszym oficerem, który przesłuchał dziwnego przybysza do dowództwa, twierdzącego, że ma do przekazania niesłychanie ważną wiadomość. Oto niedawno zbiegł od Niemców, którzy chcą zaatakować Pescopennataro, a jego pragnęli wykorzystać jako przewodnika. Oddział niemiecki to strzelcy alpejscy. Jest ich około 250. Przybyli ciężarówkami do Gamberale na drugiej stronie doliny. Za parę godzin, nocą z 21 na 22 grudnia uderzą na wioskę.

Atak niemiecki nie był więc zaskoczeniem. Już 21 grudnia o godzinie 3.20 nad ranem, porucznik Zalewski posłyszał w swej kwaterze strzały z broni maszynowej dobierające z przedpola wioski. Błyskawicznie porwał lkm, dwa pistolety maszynowe i wraz z trzema ludźmi popędził w kierunku strzałów. W ciemności natknęli się na biegnącego wartownika, podchorążego Jedwaba. Broczył krwią, dostał dwie kule w rękę. Starszy strzelec Kowalski strzelał tymczasem zza murku do gromadki postaci w charakterystycznych hełmach, przebiegających wzdłuż domów stojących na skraju Pescopennataro.

Zaszczekały polskie tommy-guny, zahuczał elkaem porucznika. Niemiecki patrol rzucił się w ciemność, przepadł we mgle. Kowalski zdążył naliczyć osiem postaci; wydawało mu się, że napastnicy ciągnęli jednego ze swoich po ziemi.

W ciągu trzech minut cała kompania jest już na nogach. Kapitan Smrokowski ogłasza stan gotowości bojowej. Strzelcy zajmują stanowiska, sierżant Teperek pieczołowicie opatruje moździerz. Kiedy nastąpi drugie uderzenie? Ale atak nie ponawia się. Do świtu, a potem przez cały prawie następny dzień, panuje spokój. Niemcy zniknęli. Dolina Sangro jest pusta i cicha, jak co dzień.

Ale o 17.30 odzywa się w słuchawkach Jerzego Cieniewicza buczone radionadajnika z Capracotty. Dowództwo odcinka zawiadamia, że spodziewany jest atak 250 strzelców alpejskich na Pescopennataro. Są uzbrojeni podobno w cekaemy. A każdy z żołnierzy ma duży zapas granatów. „Dacie radę, czy wycofujecie się od razu?” - Zapytuje major Good. „Spróbujemy dać radę” - odpowiada kapitan Smrokowski. Zresztą nie może postąpić inaczej. Właśnie przed kilku godzinami wizytował kompanię dowódca 2 Special Service Commando Brigade, brygadier Tom Churchill i wyraził się pozytywnie o morale i postawie bojowej żołnierzy. Jak tu teraz nagle, bez walki, ustąpić przeciwnikowi placu? A zresztą. Skąd ta absolutna pewność, że Niemcy uderzą?

Zapada wczesny zmrok. I nie trzeba długo czekać, aby przekonać się, że indagowany przez rotmistrza, Bohomolca przewodnik miał rację: o 19.30 na północnym i północno-wschodnim skraju Pescopennataro padają pierwsze strzały. Potem zaczynają grać karabiny maszynowe, pękają granaty. Niemcy pchają się w górę, prosto pod nasz ogień. Padają pierwsi ranni, powietrze jest pełne huków, dymu i ognia, nad górskimi szczytami wznoszą się ze świstem ogniste węże rakiet oświetlających. W pierwszym plutonie jest pierwszy ranny: strzelec Kulej dostał postrzał w pośladek; o własnych siłach wycofuje się do punktu opatrunkowego. Kontuzjowany jest starszy strzelec Głowiński. Starszy strzelec Welcer z drugiego plutonu chwytając się nagle za rękę, później pada na ziemię. Dostał jeden pocisk w dłoń, drugi w nogę - doktor Świtalski będzie musiał po bitwie amputować mu kciuk. Padają Niemcy, są wśród nich zabici i ranni, ale nie ustępują. Po polskiej stronie sierżant Teperek wali na przedpole ogniem prostopadłym zza wzgórz podrywa się bas brytyjskiej artylerii. Przed Pescopennataro wyrasta czarna ściana wybuchów. To kapitan Wood kieruje ogniem zaporowym. Walą też angielskie pociski w niemieckie odwody, w przejścia na rzece Sangro, w drogi wiodące ku dolinie z Gamberale. Aż wreszcie nieprzyjaciel daje za wygraną, rusza do odwrotu. Artyleryjska kanonada cichnie dopiero około trzeciej nad ranem 22 grudnia. Rano panuje już cisza zmącona tylko w Pescopennataro krótką komendą, lub stłumionym szcękaniem broni: o 7.15 wychodzą na wszystkie strony polskie patrole rozpoznawcze.

W walce zginęło podobno 20 Niemców, wielu było rannych. Polacy mieli tylko trzech rannych, w tym jednego - ciężko.

Tego samego dnia do oddziału przychodzi pismo gratulacyjne od dowódcy dywizji:

Dowódca Oddziału Polskiego

Z okazji Pańskiego pierwszego starcia z przeważającym nieprzyjacielem, wyrażam po gorące podziękowanie Panu, Pańskim Oficerom i Szeregowym za zdecydowane i dobre wykonanie zadania i utrzymanie powierzonego odcinka. Wasze działanie jest zgodne ze znakomitą tradycją Armii Polskiej i Brytyjskiej, to też w imieniu żołnierzy 78 Dywizji przesyłam Panu podziękowanie za dobre rezultaty walki.

W polu, 22. XII. 1943 r.

(-) C.A. Keightley, gen major Dowódca 78 Dywizji

Patrol posuwał się ostrożnie - pisze w swoim wspomnieniu Jerzy Cieniewicz - ubezpieczając się bacznie. (...) Dziwny to był patrol - z przodu i z tyłu jak zwykle szły ubezpieczające grupki z tommy-gunami. Grupa środkowa jednak dźwigała zamiast broni, trzy olbrzymie choinki. Jutro wigilia - niewielu chłopców na niej będzie, bo trzeba przecież obsadzić placówki i wysiać patrole - jednak każdy pluton, czy to mieszkający w zrujnowanym kościele, czy też w zrujnowanych domach, chciał mieć swoją choinkę..

W dzień wigilijny czekała na komandosów niespodzianka: *Okolo południa nasz mały garnizon - notuje por. Zalewski w dzienniku bojowym - zostaje wzmocniony przez oddział angielski, okolo 120 ludzi, pod d-twemu majora Irlandczyka. Okolo 30-40 proc. oddziału stanowią Irlandczycy. (...) Godz. 15.00, w moim plutonie obchodzimy wigilię Bożego Narodzenia. A więc nie są już sami. Odparli silne natarcie, mówiło o nich wczoraj radio BBC, jako o bohaterskich obrońcach, przyszłość rysuje się - przynajmniej dzisiaj - w świetlistych barwach. Porucznik Czyński pisze w swym dzienniku 24.XII. 43, g. 18.00 (...) Obchód Wilii wieczera, wzmocnione jedzenie, tyk whisky i kubek wina. Życzenia składane już na kontynencie (znów), może ostatnie poza krajem. Duch bardzo dobry, nastrój poważny, skupiony, lecz pogodny.*

Pływały na radiowych falach serdeczne życzenia świąteczne do 78 Dywizji, do dowództwa odcinka, do artylerzystów i do Belgów marznących w ruinach San Pietro. Nad górami stała czarna noc i tylko gdzieś tam zamigotała gwiazda. Bo warunki atmosferyczne pozostawały „bez zmian” - mgła w postaci drobnego deszczu.

W kościele, gdzie stacjonował pierwszy pluton, poczęli śpiewać kolędy (...) Wiatr przyniósł melodię „Bóg się rodzi”. Melodia wprawdzie nie harmonizowała z brzękiem gitary, ale śpiewający nie odstępowali od swego. Niezawodnie już się z czupryn kurczyło. Ktoś wybiegł, zakaszlał, ktoś inny wołał: Adaś... Staszek!... I zniknął w drzwiach. (...) Wartownik uśmiechał się do siebie, poprawił kołnierz i rozejrzał się badawczo wokół. Nagle drzwi skrzypnęły i na dwór wyszedł „Stary”. (...) - Życzę wam na tam posterunku byśmy w przyszłym roku w lepszych warunkach składali sobie życzenia - rzekł.

A oddziałowy lekarz, porucznik, Bolesław Świtalski, człowiek nienawykły do łatwych wzruszeń, siedział gdzieś w kącie zrujnowanego domu. I przy świetle naftowej lampki notował na kawałku papieru słowa kolędy, którą mu dyktowało serce:

Wśród nocnej ciszy, wskroś czarnych godzin.

Przez mglistą trwogę ku dniowi brodzim (...)

Przebacz nam, Jezu, za mroczne twarze,

I że Ci piosnki nie niesiem w darze:

Zbliż swą dłoń do piersi naszej,

Tam Ci wszystko wytłumaczy

Jej pośpieszny szept.

10 stycznia 1944 r. Samodzielna Kompania Komandosów, odeszła z Pescopennataro. Jej wartość bojowa została sprawdzona; miała teraz wejść w składzie 2 Special Service Brigade do krwawych walk nad rzeką Garigliano...